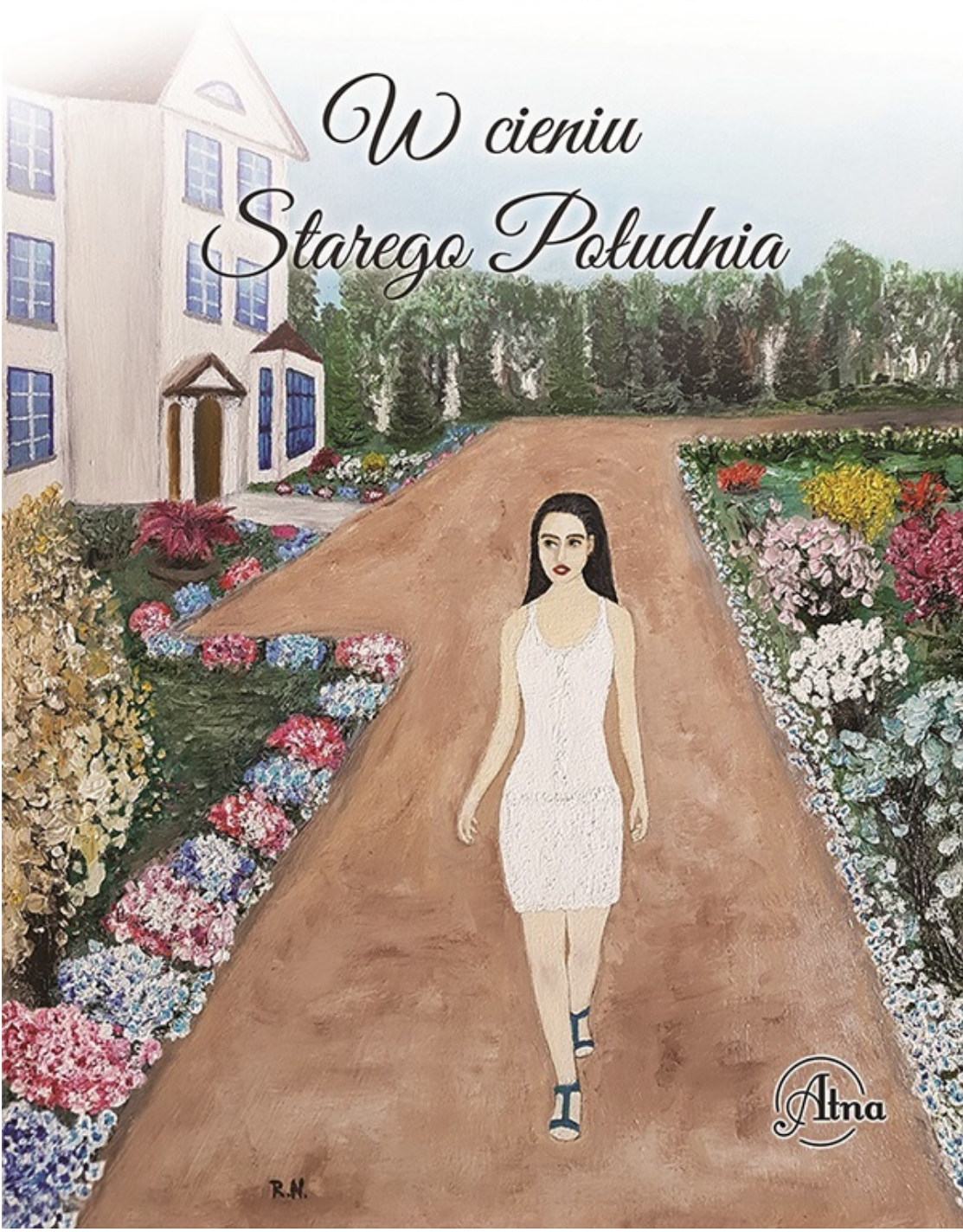


ROMAN NOWACKI

*W cieniu
Starego Południa*



R.N.

Atna

W cieniu Starego Południa

FRAGMENT

Roman Nowacki

W cieniu Starego Południa

Opole 2021

[Kup książkę](#)

Copyright © by Roman Nowacki 2021
Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki *Piotr Nowacki*

Obraz olejny na okładce *Roman Nowacki*

ISBN 978-83-958996-3-8

Wydanie drugie
Opole, wrzesień 2021

Wydawnictwo Atna

www.atna.pl

Druk i oprawa: Totem.com.pl
88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 8

[Kup książkę](#)

Spis treści

Rozdział I	
Spotkanie w ogrodzie	9
Rozdział II	
Na balu	33
Rozdział III	
Dziewczyna z obrazu	55
Rozdział IV	
Pożegnanie	101
Rozdział V	
Podróż do Nowego Orleanu	113
Rozdział VI	
Nowa spółka	139
Rozdział VII	
W drodze powrotnej	159
Rozdział VIII	
Narieczona Pinkertona	171
Rozdział IX	
List	177
Rozdział X	
Plany i marzenia	187

Rozdział XI	
Zachowanie Polly	199
Rozdział XII	
Spokojne dni	205
Rozdział XIII	
Testament	237
Rozdział XIV	
Pierwsze dni w Nowym Jorku	243
Rozdział XV	
Pobyt w Chesapeake	249
Rozdział XVI	
Irwin i Averil	283
Rozdział XVII	
Wiadomość z przeszłości	297
Rozdział XVIII	
Krach na giełdzie	309
Rozdział XIX	
Medalion	327
Rozdział XX	
Odzyskany majątek	339
Rozdział XXI	
Dwa listy	359

Rozdział XXII	
Przesyłka z Trenton	369
Rozdział XXIII	
Niespokojne dni	375
Rozdział XXIV	
Pocałunek	385
Rozdział XXV	
Nikt nie chce pieniędzy	397
Rozdział XXVI	
Przyjaciel z dzieciństwa	409
Rozdział XXVII	
Czy spółka przetrwa	415
Rozdział XXVIII	
Drewniana szkatuła	419
Rozdział XXIX	
Gdzie jest Tom	425
Rozdział XXX	
Na sali sądowej	437
Rozdział XXXI	
Zaręczyny Ingrid	445
Rozdział XXXII	
Cztery dni	459

Rozdział XXXIII

Między kłamstwem a miłością 465

Rozdział XXXIV

Znowu w domu 471

Rozdział XXXV

Trochę później 479

FRAGMENT

Rozdział I

Spotkanie w ogrodzie

Linda Henderson wstała z sofy i podeszła do stołu. Na-
lała do filiżanki trochę herbaty. Odstawiając imbryk spoj-
rzała w stronę kominka i zwróciła się do syna:

– Tom, zaraz zgaśnie ogień.

– Już idę.

Tom odgarnął popiół i przesunął osmolone kawałki
drewna. Gdy z tłących się polan wydobyły się płomienie,
skierował się w stronę drzwi. Przez chwilę matka obserwo-
wała go, po czym wróciła do swojej ulubionej powieści, au-
torstwa Alana Godwina, zatytułowanej „Zapach magnolii”.
Co wieczór czytała niewielki fragment. Zdarzało się, że po-
wtarzała w myślach niektóre wersy, polecając je swojej pa-
mięci na dłużej. Z zadumy nad losem bohaterów książki
wyrwać ją mógł tylko wzmagający się chłód słabo ogrza-
nego salonu. Tom otworzył na oścież podwójne drzwi, pro-
wadzące do przedpokoju. Po chwili pojawił się z dużą ilo-
ścią drewna. Matka uśmiechnęła się do niego. Była wyraź-
nie zadowolona.

– Mogłem je przynieść wcześniej – powiedział, wrzucając do paleniska dębowe drwa.

– Dobrze, że postanowiliśmy zapalić w kominku. Nie przypominam sobie, żeby w czerwcu było tak zimno. Już od kilku dni temperatura nie przekracza 19 stopni, a noce są chłodne.

– Zaraz robi się cieplej.

Linda Henderson wskazała otwarte drzwi i poprosiła go by je zamknął.

– Chyba nie chcesz, żeby ciepło uleciało na hol – powiedziała. – Babci by się to nie spodobało.

– Wyobrażam sobie jej minę... – zażartował.

– Biedna mama. Mogła zostać w domu.

– Przynajmniej dowiemy się, co słychać w Chesapeake.

– Tom... babcia pojechała tam po Lizę i Evelinę.

Rozległ się trzask dorzuconego drewna. Czerwone płomienie, unoszące się w kominku, dały silniejszy powiew ciepła. Lepiej teraz oświetlały niewielki salon, odbijając się od misternie zdobionej porcelany, chluby babci Edny. Nawet wiszące na ścianach obrazy zdawały się mieć bardziej nasycone, żywsze barwy, a złote litery książek, zgromadzonych w mahoniowej witrynie, lśniły jak w słońcu.

Pani Henderson zgasila lampę i odłożyła książkę. Przez jakiś czas wpatrywała się w stojące w wazonach kwiaty.

Wreszcie spojrzała na syna. Był wysoki i bardzo przystojny. Miał pociągłą twarz i ciemne włosy. Przypominał jej ojca. Wciśnięty w fotel milczał.

– Jak przebiegają przygotowania do waszego uroczystego pożegnania? – spytała.

– Akademia rozpocznie się w sobotę o jedenastej.

– Zawsze rozdawano dyplomy na zewnątrz – zauważyła matka. – Mam nadzieję, że tym razem ze względu na ochłodzenie i przelotne deszcze, uroczystość odbędzie się w auli.

– Profesor Barnes jeszcze nie podjął decyzji. Powiedział, że wszystko zależeć będzie od pogody.

– Nie dziwię się. Dziewczeta w jedwabnych sukniach nabawiłyby się choroby.

– Mogą ubrać płaszcze.

– Wiesz, że tego nie zrobią i wcale im się nie dziwię. Jest czerwiec i każda dziewczyna chce pięknie wyglądać.

Dochodzący z zewnątrz hałas przerwał im rozmowę. Wstali i podeszli do okna.

– To oni – powiedział Tom i pobiegł w stronę drzwi.

Z powozu wysiadły cztery osoby. Wysoki, barczysty mężczyzna ściągał bagaże. Starsza pani biadoliła, jakby stała jej się jakaś krzywda, a dwie towarzyszące jej dziewczyny, nie bacząc na konwenanse, podbiegły do zbliżającego się do nich Toma i przywitały się z nim. Przy wejściu

pojawiała się pani Henderson.

– Jak to dobrze, że już jesteście. Zaraz powiem Agnes, żeby zrobiła kolację.

W salonie Edna Johnson zbliżyła się do córki.

– Lindo – wyszeptała – gdybym potrafiła przewidzieć tę pogodę i warunki, w jakich przyszło nam podróżować, zostałabym w Chesapeake jeszcze dzień lub dwa. Jestem zupełnie zziębnięta i nie wypilałam dziś ani kropli moich ziółek.

– Cieszę się, że jesteście w domu – powiedziała ze współczuciem Linda Henderson.

– John jest tak pochłonięty sprawami sklepu, że nic wokół siebie nie dostrzega, a Liza i Evelina są takie niesforne – dodała głośno Edna Johnson, ściągając na siebie uwagę.

– Mam już dwadzieścia lat, a Evelina za miesiąc skończy dziewiętnaście – odezwała się Liza.

– To o niczym nie świadczy. W podróży trzeba się tak zachowywać, aby inni nie posądzili nas o brak dobrego wychowania. Na szczęście byłam z wami i zapobiegłam kilku wybrykom.

– Siadajcie – wtrąciła Linda Henderson. – Tom zanieś wasze bagaże na piętro, do pokoju gościnnego. Tego, z którego okna wychodzą na ogród.

– Czy nadal są tam te piękne kwiaty? – spytała Evelina.

– Jest ich więcej niż kiedyś – odparła rozpromieniona

Edna Johnson. – Kilka tygodni temu sprowadziłam bardzo rzadkie sadzonki – dodała i zaczęła wyliczać ich nazwy.

Edna Johnson weszła na utarty szlak, znany wszystkim domownikom. Zaczęła snuć opowieści o roślinach ogrodowych, popisując się znajomością ich właściwości leczniczych. Po kwadransie dołączył do nich Tom. Usiadł obok babci, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Liza postanowiła wykorzystać jego obecność i zmienić temat.

– Tom, nie widzieliśmy się sześć lat – zagadnęła. – Musisz nam o wszystkim opowiedzieć.

– Od czego mam zacząć? – zapytał.

– Od samego początku. Od naszego ostatniego pobytu w Charlottesville – uściśliła.

Tom zaczął wspominać ważniejsze wydarzenia, jakie zaszły w życiu mieszkańców miasta. Dziewczyny co jakiś czas przerywały mu, dopytując się o szczegóły. Najbardziej zainteresowane były tym, jak potoczyły się losy ich dawnych koleżanek, o których Tom niewiele wiedział.

Edna Johnson rozsiadła się wygodnie w fotelu i odruchowo zaczęła rozglądać się po pokoju, jak gdyby chciała sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Przerwała, gdy w drzwiach stanęła Clara.

– Witaj, babciu. – Wnuczka podeszła do niej i mocno ją przytuliła. – Cieszę się, że was widzę – zwróciła się do Lizy

i Eveliny. Przywitała się z nimi tak, jak kiedyś, gdy były prawie nierozłączne. – Bardzo się za wami stęskniłam.

– Claro, muszę ci wszystko opowiedzieć – przypomniała o sobie babcia. – Nie sądziłam, że uda mi się kupić ukwap dwupienny. Podczas mojego poprzedniego pobytu w Chesapeake nie widziałam go w żadnym sklepie. Widać jednak, że znalazł się ktoś umiejący docenić właściwości tej niezwykłej rośliny.

– Czy to z tego ziela wyrabia się maść łagodzącą ból?

– Tak, drogie dziecko. Widzę, że moje nauki nie poszły na marne.

– A jak było u Pinkertonów?

– To bardzo szacowna rodzina. Mają najpiękniejszy dom w mieście i sześć koni wyścigowych. Na przyjęciu poznałam u nich żonę burmistrza, Natalię Astor. Przemiła kobieta. Bardzo ją zainteresowały moje odmiany kwiatów. Obiecałam jej nawet, że przy najbliższej okazji przywiozę jej szczep mojej malajskiej magnolii. Może dam jej też nasiona. Ale nie wiem, kiedy się tam znowu wybiorę. Nie mam siły na takie podróże.

Ostatni do salonu wszedł John Henderson. Zadbany, pokryty siwizną mężczyzna był wyraźnie zmieszany. Za plecami ukrywał swoją ulubioną fajkę. Uśmiechnął się szeroko do wszystkich. Przesunął stojące mu na drodze

krzesło, podszedł do komody i schował ją do szuflady.

Babcia ciągnęła swoją kolejną opowieść o trudach podróży i grożących jej niebezpieczeństwach w postaci wilgoci, zimna i nieznosnego wiatru. Twierdziła, że mogła nabawić się wielu chorób, które skrupulatnie wyliczyła. Kiedy wreszcie udało się jej zmusić wszystkich do współczucia, rozległ się dźwięczny głos pani Henderson:

– Zapraszam na kolację.

Liza i Evelina były zmęczone podróżą. Po zjedzeniu posiłku udały się do swojego pokoju. Wkrótce potem nastąpiła, nieznana im w rodzinnym Chesapeake, cisza.

Dzień zapowiadał się pogodnie. Słońce zdawało się świecić jaśniej niż zwykle. Jednak poranny chłód wdzierał się przez uchylone okna do pokoi sypialnych. Liza, którą obudziły, dobiegające z oddali, odgłosy dzwonów kościelnych, wzywających wiernych na poranną mszę, bez chwili wahania klasnęła nad pogrążoną w błogim śnie Eveliną.

– Co robisz? – spytała zdziwiona siostra.

– Wybacz, nie jestem księciem, który budzi grzeczne panienki ze snu pocałunkiem. Wszyscy przygotowują się do porannej mszy.

– Jak to... jest już po ósmej?

– Za dwadzieścia, ale i tak nie zdążysz się przygotować. Zapomniałaś, że tu jest tylko jedna łazienka.

– Właśnie, że zdążę!

Evelina narzuciła na siebie szlafrok i wybiegła z pokoju. Po kwadransie wróciła umyta i uczesana. Zamykając drzwi pokoju parsknęła śmiechem. Z trudem, chichocząc, zdała Lizie relację z walki o łazienkę, z której wyszła zwycięsko. Okazało się, że nie tylko ona spała dłużej niż należało. Nawet Edna Johnson wstała później niż zwykle. A wychodząc z łazienki upominała wszystkich, że muszą się śpieszyć. Nie wypadało przecież, aby tak szacowna dama przybyła na poranną mszę z opóźnieniem. Wiedziała, że jej serdeczne koleżanki uznałyby ten fakt za godny uwagi i zapewne nieprędko by o nim zapomniały.

Wszyscy zdążyli się przygotować do wyjazdu. Powóz Hendersonów ruszył w kierunku kościoła z niewielkim zapasem czasu. Zdążyli.

Po powrocie, śniadanie stało się dla pań okazją do wymiany spostrzeżeń na temat spotkanych sąsiadów.

– Lindo, przyjrzałaś się Elwirze Trawers? – zwróciła się

do córki Edna Johnson. – Zauważyłam, że miała na sobie bardzo ładny płaszcz, z francuskiej kolekcji Coco Chanel. Przymierzałam podobny, w Chesapeake.

– Mogłaś go sobie kupić – wtrącił John Henderson.

– Za bardzo rzuca się w oczy. W moim wieku trzeba bardzo starannie dobierać kolory.

– Pani Trawers jest od ciebie starsza o dwa lata.

– Wiem – odparła z uśmiechem.

Milcząca dotąd Liza przysunęła się do siostry i zaczęła coś szeptać. Następnie zwróciła się do Lindy Henderson:

– Czy możemy pospacerować z Tomem po mieście?

– Oczywiście kochanie, ale proszę uważajcie na samochody. Tyle ich teraz jeździ po ulicach.

– Dobrze, będziemy uważać.

Obie spojrzały niepewnie na Toma, którego nie zdążyły zapytać o zdanie. Ale on uśmiechnął się i skinął głową.

Aby nie marnować czasu pobiegły do pokoju przygotować się do wyjścia. W ciągu kilku minut wieszaki i półki opustoszały. Dziewczyny zaczęły wszystko przymierzać.

– Lizo, chyba nie założysz tego pilśniowego kapelusza?

– Pewnie, że założę!

– Będiesz wyglądać jak dwudziestopięciolatka.

– Właśnie o to chodzi.

– Zaraz ci go odbiorę!

Evelina ruszyła w stronę siostry, z wyraźną chęcią zdobycia cennego nakrycia głowy.

– Daj mi spokój. Ty też możesz ubrać coś ładnego.

Evelina zaczęła przyglądać się przywiezionym z domu sukienkom. Wszystkie szyte były na miarę. Po pewnym czasie doszła do przykrego wniosku, że są banalne i dziecinne. Uznała, że żadna nie ma fasonu zbliżonego do aktualnie obowiązującego w Europie, w której wyznaczano nowe trendy mody, ani wystarczająco eleganckiego dodatku. Ogarnął ją nieuchwytny smutek.

– Nie dąsaj się. Jeśli chcesz, pożyczę ci tę różową suknię, w której byłam tylko dwa razy.

– Naprawdę?

– Tak.

– A w czym ty pójdziesz?

– W białej.

– Cudownie! – krzyknęła Evelina, której świat wydał się teraz po stokroć piękniejszy.

Spacer po ulicach Charlottesville, w którym spędziły niejedne wakacje, wzbudzał u obydwu dziewcząt więcej emocji niż zwiedzanie wielkich miast Wschodniego Wybrzeża, które przemierzyły wraz z ojcem, w ramach rodzinnych i towarzyskich wizyt, nieodzownych w świecie wiel-

kiej finansjery. Na każdym kroku mogli wspominać wcześniejsze zdarzenia. Każdy zaułek był tu znajomy, a szyldy sklepów zawierały znane im nazwiska ludzi, których poznali w dzieciństwie.

– Może wpierw udamy się do centrum, a później wstąpimy do sklepu Barreta, znajdującego się u wylotu głównej ulicy? – zaproponował Tom.

– Lepiej wejdźmy do tego sklepu z obuwiem – wtrąciła Liza. Nie czekając na pozostałych otworzyła drzwi, weszła do środka i podeszła do stoiska.

– Jakie ładne buty – powiedziała, wskazując najbardziej ekstrawaganckie szpilki. Po chwili odwróciła się w stronę siostry i spytała: – Podobają ci się?

– Mają za wysoki obcas... i są czerwone.

– A tobie, Tom? – spytała, delikatnie wkładając but.

– Nie znam się na damskich butach – odparł wyraźnie zakłopotany.

– Czyżbyś się zawstydził?

Z pomocą przysłała mu Evelina.

– Lizo, te buty nie są dla ciebie. Są zbyt wyzywające.

– Przecież ja tylko żartuję – przerwała, zwracając buty sprzedawcy.

– Chodźmy do Rossiego. Tam są najładniejsze sukienki w mieście – wtrącił Tom, wskazując sąsiedni budynek.

Dwupiętrowy gmach zachęcał przechodniów licznymi wystawami, każdemu oferując coś eleganckiego, na wzór paryski, londyński czy choćby nowojorski. Uśmiechnięte manekiny, w powabnych sukniach, z organdyny i jedwabiu, przyciągały uwagę tak pań, jak i towarzyszących im panów, pomimo wysokich cen oferowanych produktów.

Tym razem w zachwyt wpadła Evelina.

– Spójrz Lizo. To najpiękniejsza bluzka, jaką w życiu widziałam.

– Widziałam lepsze.

– No dobrze, a tamta z białej krepy, z koralową broszą?

– Tej do niczego nie dopasujesz. Zresztą teraz modne są zdecydowane kolory, a biały nadaje się tylko na uroczystości szkolne.

Rozglądając się po sklepie Liza zauważyła, że Tom odalił się od nich i zainteresował sukienką z błękitnego muszlinu. Wzięła za rękę Evelinę i poprowadziła ją w jego stronę. Dziewczyny stanęły za jego plecami. Obie milczały. Tom zdawał się być zamyślony. Przez chwilę go obserwowały. Były zdziwione, wręcz poirytowane, że śmiał o nich zapomnieć.

– To tak nam doradzasz? – spytała Liza. – Sądziłyśmy, że pomożesz nam wybrać jakieś suknie na bal.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– A więc podoba ci się ta delikatna, przewiewna sukienka
– kontynuowała Liza.

Tom spojrzał ponownie na suknię i bez namysłu odparł:

– Tak, jest piękna, ale inne też są ładne.

– Sądzisz, że mogłabym w niej pójść na bal? – spytała Evelina, przyglądając mu się badawczo.

Tom zawahał się. Nie odpowiedział.

– Dlaczego ty? – spytała retorycznie Liza, po czym zwróciła się do sprzedawcy z prośbą o wskazanie jej przymierzalni.

Po dłuższej chwili opuściła ją rozpromieniona. Łamiąc konwenanse zaczęła przechadzać się po sklepie, z gracją wyuczonej modelki. Sukienka była idealnie dopasowana do jej figury. Uszyta była według nowego kanonu mody. Jej nisko umieszczona na biodrach talia, liczne bryty i kliny kończyły proces trwającego od początku wieku, systematycznego wyszczuplania i upraszczania ubioru. Takie modele można było spotkać w ekskluzywnych sklepach i na ilustracjach najnowszych wydań magazynów mody.

Liza rozpuściła swoje długie, jasne włosy. Jej niebieskie oczy i wydatne usta wyrażały najprawdziwszą radość. Lubiała być podziwiana. Zapomniała, że nie jest już małą dziewczynką. Swoim zachowaniem wprawiała w osłupienie przybyłych do sklepu klientów.

– Jaka piękna suknia – odezwała się jakaś wytwornie ubrana dama.

– Tak, jest zachwycająca – dodała jej przyjaciółka.

– Powiedziałbym, że to raczej ona jest piękna – wtrącił jeden z mężczyzn.

Liza zorientowała się, że stała się obiektem nadmiernego zainteresowania. Szybkim krokiem skierowała się do przy mierzalni. Po chwili stanęła obok Toma i Evelyny.

Opuścili sklep. Szli milcząc. Zatrzymali się dopiero po przejściu dwóch przecznic, przed okazałym domem handlowym Barreta.

– Wejdzmy tam – zaproponował Tom.

Dziewczęta spojrzały na siebie i nie odpowiedziały.

– Jeśli nie chcecie...

– Pewnie, że chcemy! – odparły jednocześnie.

Sklep Barreta, rozpostarty na ponad pięciuset metrach kwadratowych powierzchni, różnorodnością i jakością towarów dorównywał niektórym domom handlowym w Richmond, Portsmouth, czy Norfolk. W Charlottesville nikt go nie omijał. Mieszkańcy miasta, wybierający się na większe zakupy, doceniali starania jego właściciela. Niemal każdego dnia było w nim coś nowego, atrakcyjnego, jak na przykład modne londyńskie i paryskie stroje, zachwycające mieszkańców Nowego Świata, odczuwających sentyment do starego

kontynentu. Liza i Evelina, oczarowane bogatym wystrojem sklepu, utrzymanym w stylu art déco, nadającym mu niecodzienny klimat, zaczęły mierzyć kapelusze, modne suknie, spódnice i czarne trykotowe swetry. Tom został zmuszony do oceny ich wyglądu.

Po zamówieniu wybranych towarów i wskazaniu adresu, pod który mają być dostarczone, wrócili do domu.

Linda Henderson przywitała ich z uśmiechem. Przypomniała, że obiad jest punktualnie o trzynastej i szybko wyliczyła, co zostanie podane do stołu.

Wysiłki pani domu zostały docenione przez wszystkich dorosłych domowników. Jedynie ośmioletni Jeff opierał się przed zjedzeniem drugiego dania, prosząc o słodycze. Jego matka pozostała nieugięta. Otrzymał je dopiero po zjedzeniu porcji pieczeni, przyprawionej specjałami babci Edny, która jak zwykle wspomagała w obowiązkach kucharkę.

Po obiedzie każdy zajął się własnymi sprawami. John Henderson szperał w domowej bibliotece. Bynajmniej nie w celu odszukania jakiejś lektury, lecz swojej ulubionej brandy, którą z powodu prohibicji przechowywał teraz w butelce z napisem „syrop” i zażywał, jako lekarstwo.

Na herbatę zaproszone były przyjaciółki pani Henderson, Flora Edgar i Diana Fuller, dlatego Edna Johnson zajmowała się przyrządzaniem wymyślnych deserów.

Liza i Evelina, po dostarczeniu im zakupionych towarów, przymierzały kupione bluzki, sukienki i kapelusze.

Popołudniowa herbata, osłodzona pomarańczowym kremem, wzbogaconym czekoladą, rodzynkami, odrobiną kokosów i orzechów z warstwą brzoskwiowej galaretki, wprowadziła całe grono w miły nastrój. Obu zaproszonym paniom najbardziej przypadły do gustu opowieści Edny Johnson, która wprost nie mogła się doczekać chwili zainteresowania, tak znanych z udziału w życiu towarzyskim, dam. Wiedziała, że mówiąc do nich mówi do całego Charlottesville. Udając zatroskaną o los przybyłych w odwiedziny dziewcząt, wychwalała bez ogródek ich ojca, rozpluwając się nad jego ogromnym majątkiem i poważaniem, jakim cieszy się w sferach finansowych. Panie dyskretnie pomagały jej w kreśleniu planów wobec dwóch uroczych dziewcząt, aby przypadkiem nie zmarnowały sobie życia i dobrego nazwiska. Z kolei Linda Henderson, prezentując Lizę i Evelinę, była pewna, że jej przyjaciółki uznają je za bystre i dobrze wychowane panny.

Tom grał z ojcem w szachy. Ku jego uciesze przegrywał, tracąc dotychczasową przewagę punktową. Był rozkojarzony. Potrzebował czasu, żeby jeszcze raz przemyśleć powzięte wcześniej decyzje. Resztę dnia spędził w pokoju.

Jednak zaraz po kolacji wyszedł na taras i po krótkim namyśle zszedł do ogrodu. Nagle usłyszał ciche wołanie:

– Tom, zaczekaj.

Przystanął. Obejrzał się.

– To ja, Evelina – powiedziała prawie szeptem.

– Dlaczego tak cicho mówisz?

– Nie chcę, by mnie ktoś zobaczył. Obiecałam twojej mamie, że zacznę dziś czytać jej ulubioną książkę „Zapach magnolii”, żebym mogła ocenić postępowanie jej bohaterów.

– Teraz rozumiem, dlaczego się ukrywasz – uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Przestań żartować. Zacznę ją czytać jutro.

– Pokażę ci ogród, zanim spadnie deszcz.

Mówiąc to spojrzał w górę, jakby chciał jej udowodnić, że ma rację. Evelina podążyła za jego wzrokiem. Niebo rzeczywiście przybierało coraz ciemniejsze barwy. Pomiędzy szarymi, skumulowanymi chmurami przebijała się jeszcze poświata słoneczna. Wzmagające się podmuchy wiatru poruszały lekko gałęziami, rozsianych po ogrodzie, drzew. Ich jednolity szelest przypominał Evelinie oceaniczną bryzę, wiejącą na plaży, po której spacerowała prawie w każdy ciepły dzień. Tom ujął jej ramię i poprowadził wzdłuż różanej alejki, która o tej porze roku zachwycała pięknymi kwiatami, z których unosił się przyjemny zapach. Ogród mienił

się odcieniami soczystej zieleni, świadczącej o różnorodności rosnących tu roślin.

– Spójrz, to najważniejsza część ogrodu – odezwał się, wskazując szachownicę niewielkich, starannie od siebie oddzielonych, poletek.

– Znam niektóre z tych roślin – ucieszyła się Evelina.
– To jest lawenda, a to tymianek, tego nie znam, ani tego. To może być bodziszek.

– Świetnie. Babcia byłaby z ciebie dumna. To jej największe skarby.

– Teraz wiem skąd bierze składniki do swoich syropów.

– Chodźmy dalej. Pamiętasz ten wielki jesion, pod którym bawiliśmy się w szkołę, gdy przyjeżdżałaś do nas na wakacje?

– Tak... – odparła i roześmiała się. – Pamiętam jaki byłeś zły, kiedy Liza kazała ci zaśpiewać arię z „Don Giovanniego”.

– Ciekawe, że akurat to utkwilo ci w pamięci najbardziej.

– Jest jeszcze coś – powiedziała zatrzymując się. – Do dziś nie mogę jej wybaczyć, że kazała mi narysować konie i to galopujące. Zrobiła to tylko po to, żeby pokazywać je chłopcom z sąsiedztwa i śmiać się ze mnie.

– Jednym słowem Liza dobrze się bawiła – powiedział, przyglądając się jej.

– Nie tylko ona. Przypomnij sobie Randal'a Derka. Gdy bawiliśmy się w szkołę, stawiała mu same piątki, dopóki nie zaczął się umawiać z Bess.

– Liza nie mogła znieść widoku swojej konkurentki do tego stopnia, że o mało jej nie pobiła. Jednak triumfował Randal, bo sprzeczka poszła o niego, a raczej o to, którą z nich miał uczyć pływania – dokończył Tom.

– W końcu Liza wygrała...

– I po dwóch dniach przestała się nim interesować.

– Jest bardzo piękna... – powiedziała cicho ze smutkiem w głosie. – Wszystkim się podoba. W szkole...

– Nie tylko ona jest piękna – przerwał jej.

– No pewnie. W waszym mieście jest dużo ładnych dziewcząt – podchwyciła i jeszcze bardziej posmutniała.

– Nie to miałem na myśli, Evelino.

– A co?

– To, że ty...

– Nie, nie odpowiadaj – przerwała, podnosząc rękę, jakby chciała zasłonić się przed jego słowami. – Tom, bardzo kocham Lizę i naprawdę niczego jej nie zazdroszczę. Czasem tylko myślę, że jako jej siostra mogłabym mieć trochę jaśniejsze włosy. Jak sądzisz?

– Myślę, że wyglądałabyś pięknie...

W tym momencie Evelina opuściła głowę, jakby chciała

coś znaleźć na wąskiej, piaszczystej ścieżce, biegnącej wzdłuż karłowatych krzewów.

– No tak – pomyślała – moje włosy są pospolite. Szkoda, że nie jestem taka ładna jak Liza.

Tom przyglądał się jej. Evelina wyczuła na sobie jego wzrok. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Czy chcesz mi jeszcze coś pokazać? – spytała.

Zabrzmiało to tak chłodno, że natychmiast zrozumiał swój nietakt. Przystanął i zaczął wpatrywać się w pobliskie zarośla.

– Spójrz na tamto drzewko – powiedział. – Ojciec kupił je pięć lat temu w Nowym Orleanie. To niezwykle rzadki okaz magnolii malajskiej. Właściwie rośnie tylko na żyznych glebach wulkanicznych. Do Europy sprowadzili ją Grecy, upiększając nią swoje ogrody. Ma piękne kwiaty, które wydają przyjemny zapach, ale tylko mieszkańcy krajów śródziemnomorskich mogą cieszyć się jej widokiem przez dłuższy czas. W mniej sprzyjającym klimacie drzewko to zazwyczaj usycha w ciągu kilku lat.

– Przed chwilą powiedziałeś, że twój ojciec kupił je pięć lat temu – wtrąciła Evelina.

– To prawda.

– Dlaczego je kupił?

– Przeczytaj ulubiony romans mojej mamy.

– „Zapach magnolii”?

– Tak.

– Podejdźmy do niego – zaproponowała.

Drzewko otaczała trawa i nieznane jej rośliny. Zielone krzewinki, przypominające makie, oplatały je podwójnym kołem, czyniąc zeń prawdziwie cenny obiekt.

Nie przekraczając kręgów Evelina wyciągnęła ręce i delikatnie ujęła, wijące się w różne strony, łodyżki magnolii. Zdziwiła się widząc między nimi niewielkie, białe pąki kwiatów. Uderzający kontrast pomiędzy nimi, a jasnozielonymi, niewielkimi liśćmi wywołał na jej twarzy uśmiech. Jej usta poruszyły się, jakby chciała coś powiedzieć, o coś zapytać. Wiedziała już, że drzewko przebudziło się do nowego życia, że rozkwitnie i będzie mogła je podziwiać, może już po raz ostatni. Tom przyglądał się jej w milczeniu. Przez chwilę wydawało mu się, że zapomniała o nim i o tym, że gdyby nie księżyc, wychylający się zza gęstych chmur i towarzyszące mu gwiazdy, byłoby zupełnie ciemno.

– Gdzie podziała się ta mała, kapryśna dziewczyna, którą znałem – pomyślał.

Nagle zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z kimś zupełnie innym. Po raz pierwszy z takim zainteresowaniem śledził jej wyraz twarzy. Zauważył, że ma piękne, kształtne usta,

długie rzęsy i wyraźne brwi. Zaczął przyglądać się jej ciemnym włosom, opadającym swobodnie na delikatne ramiona. Bijąca z jej twarzy radość wyrażała coś więcej niż był w stanie pojąć. Miał ochotę ją przytulić, powiedzieć, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Stał jednak nieruchomo, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Evelina odwróciła się do niego.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz? – spytała.

– Ja... chciałem ci powiedzieć... – zaczął bardzo niepewnie, patrząc na nią.

Uśmiechnęła się do niego. Jej oczy zalśniły nikłym światłem, odbitym od gwiazd. Zaczęła się domyślać, że coś się wydarzyło. Poczuła, jak lekki dreszcz zaczyna przenikać całe jej ciało. Starając się ukryć swoje poruszenie, spytała szeptem:

– Będziemy tu stać do rana?

– Masz rację – podchwycił skwapliwie, nie kończąc swojej odpowiedzi. – Wracajmy.

Tom podał jej ramię. Po chwili poczuł zapach jej delikatnych perfum. Evelina szła bardzo wolno. Miał wrażenie, że czasem odwraca się w jego stronę. Zdawało mu się nawet, że na niego patrzy.

Zbliżali się do domu. Evelina zatrzymała się i puściła jego ramię. Stała na wprost niego. Była blisko, bliżej niż

kiedykolwiek. Miała zagadkowy wyraz twarzy. Nigdy tak na niego nie patrzyła. Nagle przerwała ciszę.

– Zgadnij, jakiego koloru mam oczy? – spytała.

Tom czuł, że skupiła na nim całą uwagę. Sądził, że próbuje z nim żartować, ale Evelina wpatrywała się w niego, czekając na odpowiedź. Nigdy nie zastanawiał się nad kolorem jej oczu. Uznał, że są takie same, jak dawniej.

– Dlaczego mnie o to pyta? – pomyślał.

Zniecierpliwiona odwróciła się od niego i nie czekając na odpowiedź ruszyła w stronę domu.

Po chwili wahania postanowił jej odpowiedzieć.

– Jeśli dobrze pamiętam... twoje oczy są szare.

– Wcale nie! – Zatrzymała się przy rosnącym w pobliżu alejki tulipanowcu, jakby chciała ukryć się w jego cieniu.
– Teraz są niebieskie – odpowiedziała z przekorą. – Chcesz się przekonać? Zobacz.

Tom podszedł do niej. Spojrzeli na siebie i szybko oboje odwrócili wzrok. Jej oczy były szare jak niegdyś, lecz kryły w sobie różne odcienie brązu i zieleni, które nadawały im niezwykle wygląd.

– I co? Niebieskie, prawda? – spytała szeptem.

– Nie są niebieskie, ale są piękne... wyjątkowe...

– Nieprawda! Są niebieskie, tylko ty nie znasz się na kolorach! – przerwała, zawiedziona jego słowami.

Nie chciała się tak zachować. Wiedziała, że jej nie okłamał. Zaczęła biec, żeby nie mógł jej zatrzymać.

Podskakując w lśniącej sukni, przywodziła mu na myśl tańczącą nimfę, z przedstawienia operowego, na które kiedyś, podczas pobytu w Nowym Jorku, zabrali go rodzice. Patrzył jak pokonuje drogę, wbiega na taras i jak znika w drzwiach, rzucając mu ostatnie spojrzenie.